

STARE WINO, NOWE DZBANY

YCINKI r.

Robimy te zestawienia od paru lat, czytam je teraz po kolei i w każdym widzę podobną skłonność do wyprowadzania projektów na przyszłość na podstawie paru rzeczy, które się w danym roku uznało za najlepsze, największe zapowiadające. Więc życzenia — dla i od telewizji, wróżby, jednym słowem — futurologia.

Futurologia stała się dziś u nas epidemiczna, co wystarcza, by stracić do niej zapal przynajmniej na rok. Zatem w tym roku — żadnych prognoz, samo życie.

Rzecz nie w tym nawet, czy się nasze prognozy potwierdzały; tyle tylko, że jakos co roku wypadło powtarzać te same życzenia, podobnie formułować postulaty. Więcej — powtarzają się również pochwały dla kilku programów i osób, nagany dla innych. Od lat paru nieodmiennie chwalimy „Kontakty” — najlepszy magazyn publicystyczny telewizji — za ostrość widzenia konfliktowych sytuacji społecznych w kraju;

— oceniamy wysoko reportaże Józefa Blachowicza (w tym roku: trzyczęściowe „Oblicze zbrodni”, „W Albigowej”);

— ganimy niedowład rozrywki telewizyjnej;

— stawiamy za wzór wielu „dorosłym” redakcjom pomysły i pobudzające aktywność widza programy Telewizji Dziewcząt i Chłopców.

Przykładów znalazłoby się więcej. I tak spojrzenie wstecz okazuje się pożyteczne, pożyteczniejsze może od błędzenia w wymiarze futurum, bo pozwala odkryć sporą stałość tego, co można już nazywać — jako że okrzepło, od lat działa podobnie nie zważając wiele na nasze sądy — instytucjami tele-

wizyjnymi. Są nimi TDC i „Kontakty”, reportaże Blachowicza i rozrywka, DTV i „Wielka Gra”, i sporo jeszcze innych.

Ma to swoje dobre strony, trwałości w kulturze nigdy u nas za wiele. Zapamiętałości w złej robocie za to w nadmiarze, przynajmniej w telewizji, i to jest druga strona problemu. I tele-

wizja, i my bodaj, jej prace oceniający, pewno dojrzelśmy na tyle, by nie nawoływać nawykowo do zmian, by w nich samych nie upatrywać lekarstwa na niedostatki „życia snem” przy telewizorze. Potrzeba ulepszeń, chęć przebudowy, kiedy się dysponuje programem dla kultury — co innego, a co innego zgola — mitologia nieustającej przemiany, pokrywająca nader często skłonności zachowawcze. Jak mawiał książę Salina, mimo urodzenia dobrym dialektyk: „wszystko trzeba zmienić, żeby nic się nie zmieniło”. Widzę nieraz, że w telewizji pojęto tę maksymę właściwie.

Widzowie telewizji — jestem o tym przekonany — nie pragną wcale starego wina w nowych dzbanach, jeśli tylko rzeczywiście zawartość dzbana kogo kontentuje. A odwrotnie też by nie chcieli. Pewno chodziliby im raczej o stosowność pomysłów do formy, atrakcyjność dopasowaną do pożytku — co gdzieś indziej w programie naszej TV nieźle wychodzi, gdzie indziej zaś od zarania nie trafia we właściwą koleinę.

Narzekamy słusznie na propozycje rozrywkowe telewizji — bawią nas one miernie, mimo podsuwania wciąż nowych gier kapryśnemu

widzowi: od „inteligencji” po „czarnego luda”, jak śpiewa Młynarski. Jest to rzecz trudna do przeniknięcia. Nieraz pisaliśmy, za socjologami idąc w tej mierze, o potrzebie wyrobienia własnego stylu zabawy; jako że te układy kultury, co się na ów własny styl nie zdobyły, są niepełne i jakby chrome. Patrząc na produkcje rozrywkowe telewizji można nabrać przekonania, że istotnie — jesteśmy w ten sposób ułomni. A wystarczy posłuchać rozmów w tramwaju, pomyśleć nad tym, co mówi tak zwana ulica, w tym — my sami, o sprawach większych i małych; te trafiające w sedno anegdotki, naprędce układane złośliwe porzekadła; humor czuły na absurdy, lapidarny jak aforyzmy, wrażliwy na brzmienia autentyczne... Jak to się dzieje, że od dobrze wyrobionego, rodzimego zmysłu komizmu, trudno przejść ku własnemu stylowi zabawy?

Narzekamy słusznie, że nie istnieje w telewizji komedia muzyczna, wodewil, że brak stylowego kabaretu literackiego; wszystko to prawda, mimo widocznych w minionym roku wysiłków Teatru Rozrywki TV, niejednym uwieńczonych sukcesem. Jeszcze gorzej chyba, że

Dalszy ciąg na str. 4-5



STARE WINO, NOWE DZBANY

Dalszy ciąg ze str. 3

tak mało jest prób przeniesienia wspomnianego, naturalnego w narodzie stylu poczucia humoru do form profesjonalnej zabawy, na telewizyjną estradę. Może jedynie kabarecik „Express” (dialogi Dobrowolskiego i Pokory!) jest zwiastunem czegoś pożytecznego w tym względzie, a i to bardziej zwiastunem niż spełnieniem. Ale zwiastuni giną w nawałnicy — jak pisałem przed rokiem — „kretyńskiego chichotu składanek-monstre, non-stopów, mini-rewii, niby-showów”. Coż, niektóre tytuły się od tego czasu zmieniły, ale ogólnie — toż samo kwaśne wino w nowych dzbanach...

Zresztą, coś i tu drgnęło. Niektóre nowe teleturnieje — jak „Pojedynki”, „Turniej fabryk”, takie formy zabawy podszycie drwiną jak programy. „Wszystko za wszystko”, spektakle Teatru Rozrywki w rodzaju „Tryptyku szkockiego” Stanisława Broszkiewicza — przyjmowaliśmy w tym roku z wdzięcznością, czasem z niedowierzaniem, że tak zaprzęgle w rutynie instytucje telewizyjne potrafią z nagłą odnaleźć werwę pierwszych lat swego istnienia.

Rozpoczęliśmy obrachunek z rokiem minionym od rozrywki, jako że z racji popularności, a także dla znanych swych przywar, programy rozrywkowe dobrze służą za tworzywo dla uogólnień w sprawie telewizyjnych: nędzy i wielkości. Ale wydarzenia roku w TV pochodzą przecież z innych sfer. Przypomnijmy: był to rok dwu Olimpiad, w Sapporo i Monachium. Pierwszą, zimową, zapamiętaliśmy jako wspaniałe widowisko telewizyjne, przekazywane przez Japończyków w sposób perfekcyjny.

Igrzyska monachijskie, o jeden tragiczny dzień dłuższe niż planowano, niewąbily może kibica technicznymi rewelacjami przekazu — ale i tak emocje jakie wzbudzały transmisje z Monachium, ich zasięg i stopień zainteresowania widzów, nie miały sobie równych. I co byśmy złego powiedzieli o talentach naszych sprawozdawców, jednak obsługa Igrzysk, jeśli ją oceniać łącznie i z pewnego już oddalenia, udała się polskiej TV.

Inna sfera, trudniejsza, o poważniejszych konsekwencjach społecznych, to programy polityczne, gdzie w roku 1972 telewizja odniosła kilka poważnych sukcesów. Towarzyszyły one, z pewnością nieprzypadkowo, tym ze znaczących wydarzeń w życiu międzynarodowym, w które uwikłana była najdokładniej polska racja stanu. Zarówno programy z okazji wizyty Edwarda Gierka we Francji, jak i relacje i komentarze do okresu przedwyborczego i dotyczące samych wyborów w Niemieckiej Republice Federalnej (zwłaszcza obydwa filmy Czalbowski, Kollata i Petryckiego), dostarczyły wielu przykładów inteligentnej roboty dziennikarskiej, dobrej popularyzacji zagadnień współczesnej polityki; chciałyby się uznać za sukcesy, na razie sporadyczne, za normę, od której odstępstwa w dół nie będą mogły w przyszłości liczyć na żadne usprawiedliwienia.

W wydarzeniem o największym może znaczeniu dla przyszłego kształtu kultury telewizyjnej w Polsce była decyzja o nadaniu nowego statusu II programowi TV. Próbowany dość długo, w zamierzeniu — oświatowo-edukacyjny charakter drugiego kanału, rozplynał się rychło



... tymczasem nasi twórcy cyzelują, zresztą nieporadnie, epizody z życia wsi młodopolskiej — scena z serialu „Chłopi” w reżyserii Jana Rybkowskiego

w zakresie nie wiadomo do kogo adresowanej, niezbyt zręcznie robionej popularyzacji wiedzy wyraźnie anachronicznej wobec polskich aspiracji z lat ostatnich. PISAŁIŚMY zresztą wielokrotnie o niedostatkach takiej choćby informacji o problemach współczesnych nauk społecznych w telewizji, a nieliczne wyjątki, także w dziedzinie dokonań artystycznych II programu, wylaniały się z morza przeciętności, spod fali repetycji tytułów zgranych poprzednio w „jedynce”. Dobrze, że i w telewizji zrozumiano niekorzyści takiego stanu rzeczy, że spóbowano powrotu do sprawdzonych — jako stymulator wielu sukcesów artystycznych i popularyzatorskich — zasady konkurencyjności. Za wcześniej jeszcze, by oceniać wyniki, w sytuacji, gdy nowa Naczelna Redakcja Programu II działa właściwie kilka tygodni, a owoce jej prac dopiero zaczyna zbierać wcale liczna, bo sięgająca połowy wszy-

stkich teleabonentów, widownia; w każdym razie pomysłów nie brakuje redaktorom „dwójki” prowadzonej podług nowego stylu, co widać było choćby w programach świątecznym i noworocznym. Jeśli nawet te próby nie we wszystkim kontentują, chwała ludziom poszukującym!

W edukacji telewizyjnej — głębsze, pocieszające przemiany. Jesteśmy w przededniu uruchomienia pierwszej prawdziwej szkoły TV: w lutym rozpoczną się wykłady Telewizyjnego Technikum Rolniczego. Prawdziwa to szkoła, bo znanym w innych krajach sposobem gwarantuje odpowiedni cenzus wykształcenia swym absolwentom — cenzus potwierdzony pełnowartościowym dyplomem. Jeśli pierwsze doświadczenia TTR okażą się pomyślne, czas byłoby uruchomić instytucję telewizyjną odpowiadającą poziomem angielskim czy japońskim „open universities”, a więc — dającą możliwość studiów zaocznych. Nasze doświadczenia dotychczasowe w tym względzie, z politechniką telewizyjną, wykorzystali zresztą właśnie Brytyjczycy, tworząc swój Otwarty Uniwersytet — największą obecnie uczelnię Anglii, liczącą 36 tysięcy studentów, wywodzących się głównie, co zrozumiałe, z warstw pracujących.

Inny ważny dział edukacji powszechnej, w którym to dziale telewizja może zagwarantować wyniki dotąd nieosiągalne — a więc nauka języków obcych, wzbogacił się w tym roku znacznie. Wraz z wprowadzeniem programów z cyklu Telewizji BBC — „Slim John”, zresztą bardzo udanie komentowanego i przyspobionego do naszych warunków w ośrodku łódzkim, otrzymaliśmy właściwie pierwszą nowoczesną szkołę — może nie poliglotów, ale przynajmniej też i nie półanalfabetów, w myśl porzekadła, iż jest się nim w świecie dzisiejszym bez znajomości jednego przynajmniej języka poza rodzimym...

O bchodzimy z daleka, jak dotąd, tereny naturalnych do niedawna sukcesów telewizji polskiej — teatr i film. Ale bo też: czy o sukcesach w roku minionym może być mowa? Na to padają argumenty nagród zagranicznych. Owszem, „Złota Praga” dla filmu „Przez 9 mostów”, kra-



„Programy polityczne — kilka poważnych sukcesów”... Wierc przesiedleńców na rynku w Bonn; scena z filmu „NRF w godzinie ratyfikacji” Andrzeja Czalbowski, Henryka Kollata i Romana Petryckiego



Sukcesy międzynarodowe: główna nagroda festiwalu w Sofii dla spektaklu dokumentalnego „Poczdam 1945”

kowskie Grand Prix dla „Autobusu z napisem koniec”, czy główna nagroda festiwalu w Sofii dla spektaklu dokumentalnego „Poczdam 1945” — cieszą ogromnie, a nade wszystko — są formą uznania dla rzeczywiście najlepszych w tym sezonie dokonań. Rozejrzawszy się jednak wokół laureatów słusznie uwieńczonych — coź dostrzegamy w tle? Nijakosć, marazm, upadek całych, słynnych nie tak dawno i popularnych rodzin programowych, jak Teatr TV przede wszystkim, podobnie, w sporej mierze, film telewizyjny.

W teatrze zaczęło się w tym roku fatalnie — „Weselem” Lidii Zamkow — i tak już zostało. Przeglądając wykazy przedstawień „pierwszej (ongiś) sceny w kraju”, popadamy w nieuniknioną zadumę. Coś, co było przed laty rewelacją scen warszawskich, dziś odgrzewane jest w nikłym blasku tamtej sezonowej chwaly („Romulus Wielki”, „Widok z mostu”); zorganizowany, w nieustannym braku współczesnej polskiej dramaturgii, konkurs na dramat dla Teatru TV przyniósł plony tak mizerne, że z przyjemnością zapomnieliśmy o wystawionych laureatach niemal nazajutrz po prezentacji; nadal z lubością adaptuje się drugorzędne powieści lub psuje pierwszorzędne („Kordian i Cham”)... W tej sytuacji zgrabnie inscenizowana błahostka w rodzaju Lucy Crown nabiera wymiarów wydarzenia telewizyjnego. A tak naprawdę — co zostanie po tym sezonie Teatru TV, co chcielibyśmy wytytować do przyszłego festiwalu czy przeglądu jego osiągnięć? Poza wspomnianym „Poczdamem”, pewno jeszcze dwie inscenizacje teatru faktu — „Berlin 1945” i „Cytadela”, „Wiśniowy sad” w reżyserii Macieja Prusa, może „Matkę” Karola Czapka; na pewno „Zemstę” wystawioną przez Jana Świderskiego i — w innym nieco porządku artystycznym — cykl ślicznych miniatur Adama Hanuszkiewicza według prozy Mirosława Żuławskiego („Opowieści mojej żony”).

Podobnie w filmie. Kilka tytułów już wymieniliśmy, należałoby do nich dodać, w dokumencie: „Dziesięć kołobrzeskich dni” Srogi i Wionczka, w fabule — obydwaj filmy Janusza Kondratiuka („Dziewczyny do wzięcia” i „Nie-

działa Barabasza”) — i zamykamy kramik, nie ma czym handlować. Bo przecież wszystkie te „Beczki Amontillada” i inne akty sadyzmu wobec klasyków, te współczesno-przedpółopowe „Punkty wyjścia”, „Opowieści”, „Ogłoszenia matrymonialne” — doprawdy można było sobie darować. Szkoła na nie reżyserów, albo scenarzystów, różnie się bowiem winy rozkładały, nieważne.

A równocześnie — jakiś ruch, ożywienie w redakcji filmowej: mniej ostatnio tandety zagranicznej, pojawiło się znowu, po sporej przerwie, Kino Interesujących Filmów i jego odmiany; zaczynamy też, na razie w „dwójce”, układać repertuar wedle jakichś zasad, nie — przypadkowo, jak leci (cykle polskich reżyserów, etc.). Najbardziej interesująca sytuacja zarysowała się w dziedzinie serialu, tej podpory każdej chyba telewizji na świecie. Tyle, że u nas ewenementem stały się dwa seriale zagraniczne: „Sześć żon Henryka VIII”, w czasie emisji którego to zniknęły z księgarń wszystkie dostępne „Historie Anglii”, i w stopniu jeszcze wyższym — opowieść o życiu i twórczości Leonarda da Vinci, wzór nowej poetyki filmu seryjnego na poważny temat, a równie popularnego, co niegdyś detektywistyczne czy szpiegowskie romanse w odcinkach. Światło więc w tym przypadku idzie z Zachodu, a tymczasem nasi twórcy cyzelują, zresztą nieporadnie, epizody z życia wsi młodopolskiej, dla dodania otuchy powtarzając sobie: po nas choćby „Potop”!

Wobec czego kultura — tradycyjnie pojęta — broni się w telewizji przede wszystkim dzięki sukcesom upowszechniania muzyki, i to tej mniej popularnej od sopockich przebojów; jeśli więc musiałbym tu wybierać jedynego sprawiedliwego, byłby nim Janusz Cegiella, bez wątpienia. To co zrobił Cegiella w krótkim jeszcze okresie samodzielności redakcji muzycznej TV, pozwala wierzyć, iż epitet „pokolenie głuchych” odejdzie wkrótce w cienie wiekiste... Więc programy muzyczne — a z innych, kilka tylko jeszcze godnych największej popularności, jak filmy Grzegorza Dubowskiego z Armenii, reportaży



„Emocje jakie wzbudzały transmisje z Monachium nie miały sobie równych”

„Teatr i teatry” Barbary Pietkiewicz i ostatnie zwłaszcza wydania magazynu „Sztuka” Witolda Rutkiewicza.

Nie tak wyraźnie, jak oczekiwaliśmy, zaznaczyły w ubiegłym roku swą aktywność ośrodki pozawarszawskie. Przeważnie nadal Wrocław, z niezłym stosunkowo teatrem, z wyróżniającymi się programami popularyzatorskimi (zwłaszcza cykle Henryka Pachy w „dwójce”), z wieloma cennymi programami politycznymi o tematyce nieoczywistej. Wydaje się, iż tutaj, w silniej niż dotąd akcentowanej obecności innych poza stolicą ośrodków kulturalnych, tkwi sporo spośród tych wielu możliwości, które łącznie pozwalają wierzyć w rychłe usunięcie dysonansu między ambitniejszą częścią naszej prasy a telewizją — dysonansu na niekorzyść, oczywiście, tej ostatniej.

Jeśli telewizja ma być rzeczywistym współtwórcą nowej przebudowy społecznej, jaką zamierzaliśmy, a o to pewno chodzi również jej dysponentom, musi w swym działaniu kierować się nie tylko programem emisji, w czym też zresztą nie przesadza, ale i programem organizowania wyobraźni ludzkiej; w takim zamierzeniu kształt sztuki, kultury, przez telewizję propagowanych, musi być krojony na miarę partnera informacji politycznej, rozrywki, popularyzacji nauki, sportu... W minionym roku o partnerstwie trudno byłoby mówić — i to nie tyle dla tak znacznych przewag tych ostatnich dziedzin, co z powodu niedowładu programów artystycznych TV, wziętych jako całość.

ANDRZEJ OCHALSKI
Fot. ROMUALD PIENKOWSKI
ROMAN PETHYCKI



Leszek Herdegen i Mieczysław Jasielski



Scena zbiorowa

Zobaczymy
w Teatrze TV

PUGACZOW

Po szerokich stepach Rosji rozniósł się wieść, że dobroliwy car Piotr III nie żyje; wnuk Piotra Wielkiego odznaczał się podobno łagodnym usposobieniem i słabym charakterem. Został zamordowany niemal natychmiast po koronacji przez swoją żonę i następczynię, a zatem nie zdążył dać się ludowi we znaki. Dobrze natomiast odczuli poddani już w pierwszych latach panowania ciężką rękę księżniczki Sophie von Anhalt-Zerbst, żony Piotra III, która przeszła do historii jako caryca Katarzyna Wielka.

Na olbrzymich przestrzeniach Rosji wzmagala się fala niezadowolenia, nędza popychala do czynu. Dojrzał bunt. Jemielian Pugaczow wykorzystał wieści o rzekomej śmierci Piotra i przybrał imię cara. Zdobył posłuch wśród buntowników, pod jego rozkazy garnały się tłumy niezadowolonych, pokrzywdzonych. Wreszcie i sam uwierzył w swoją imperatorską władzę, zaczął organizować regularną armię, zawierać sojusze, przygotowywać podbój nowych terenów. Pugaczow został zdrad-

zony i zginął w męczarniach, do końca podtrzymując carski mit.

Caryca pokonała buntownika, ale wkrótce przeszedł on do legendy i stał się bohaterem wielu utworów literackich.

Pugaczowowi poświęcił poemat Sergiusz Jesienin. W jego ujęciu przywódca osiemnastowiecznego powstania chłopskiego stał się jednostką, która wyniesiona została ponad tłum, aby czynić sprawiedliwość, przede wszystkim — karać. Tym, który pierwszy ci-

snął kamień, porywając w roku 1775 Rosję do buntu, zakończoną klęską. U Jesienina czytelną jest droga, która wiedzie od tego wydarzenia wprost do październikowych dni roku 1917.

Poemat Sergiusza Jesienina o Pugaczowie przygotowała dla telewizji Lidia Zamkow, a nadany on zostanie w styczniu przez Telewizję Katowice. W roli głównej wystąpi Leszek Herdegen, przekład Władysława Broniewskiego. (jas.)

Fot. CZESŁAWA KŁOSE



Henryk Boukołowski

Poezja na małym ekranie

EUGENIUSZ ONIEGIN

»Puszkina był raczej brzydki, lecz twarz miał natchnioną i pełną wyrazu; był nieduzego wzrostu (miał niewiele ponad pięć werszków) (156 cm — red.), ale szczupły, budowy krzepkiej i proporcjonalnej. Podobał się kobietom; umiał wobec nich być czarujący i w ciągu swego życia wzbudził niejedną namiętność. Kiedy umizgał się do jakiejś kobiety, albo kiedy był nią rzeczywiście zajęty, rozmowa jego stawała się niezwykle pociągająca. Należy podkreślić, że rzadko spotyka się człowieka, który mówiłby tak blade i nużące jak Puszkina, jeżeli nie zajmował go przedmiot rozmowy. Stawał się jednak ośniewająco wymowny, gdy chodziło o coś, co bliskie było jego sercu. Wówczas stawał się poetą i to o wiele bardziej natchnionym niż we wszystkich

swych utworach. O poezji i literaturze Puszkina w ogóle mówił nie lubił, a z kobietami nigdy nawet nie poruszał tego tematu.

...W Odessie Puszkina pisał dużo, a jego utwory stawały się z każdym dniem bardziej oryginalne; czytał jeszcze więcej. Tam właśnie napisał trzy pierwsze rozdziały „Oniegina”. Zabrał się do niego z zapalem i pracował nad nim codziennie. Budził się wcześniej i zazwyczaj pisał przez kilka godzin nie wstając z łóżka. Przyjaciele nieraz zastawali go zamyszonego, to znów zaśmiewającego się nad strofą własnego utworu. Jesień odeska oddziaływała dobroczynnie na jego pracę. Należy zauważyć, że ta pora roku, przeważnie dżdżysta i słotna, przynosiła mu natchnienie; a cóż dopiero przeżywał na południu, gdy odczuwał cały wpływ jesie-